

MARIUSZ NIEMYCKI

Policjanci i złodzieje



PIĄTKA Z BUKOWEJ GÓRY

WYDAWNICTWO SKRZAT
KRAKÓW

POPZREDNIO W „PIĄTCE Z BUKOWEJ GÓRY”:

Jest nas pięcioro. Patyk, który tak normalnie ma na imię Patryk, to nasz dowódca i sprawca większości przygód. Tobiasz, czyli Tobi, choć czasami sprawia wrażenie ciężko myślącego, w rzeczywistości jest nieprzeciętnie inteligentny i bardzo sympatyczny. Maciek, czyli mój młodszy brat, to ciapowaty bałaganiarz, lecz ma wielkie serce i niegłupio kombinuje. No i ja, Basia. Cóż mogę o sobie powiedzieć? Chyba ładna, chyba fajna, chyba mądra. Właściwie na pewno. Chociaż... sama nie wiem.

Ach, jest jeszcze Oliwka, kuzynka Patyka. Dołączyła do nas na skutek skomplikowanej sytuacji rodzinnej i wygląda na to, że będzie z nami jeszcze długo. Czy ją lubię? Hm... Zdaje się, że nie mam wyjścia. Maciek oczu od niej nie może oderwać, ale on, jak już wspomniałam, ma wielkie serce i jest ciapowaty.

Mimo że jesteśmy fajnymi dzieciakami, mamy w Bukowej Górze zaprzysięgłych wrogów. Całą rodzinę, rzec by

można. Rodzina Wasielaków mieszka na odludziu, niedaleko rezerwatu przyrody. Pewnie z tego powodu są tacy dziwni. Brak kontaktu z cywilizacją robi swoje. Nawet imiona mają niecodzienne: Armand, Rafael, Ajaks i Inez, czyli Bromba.

Pod koniec wakacji sporo się wydarzyło. Nie będę się rozpisywać na ten temat, bo przecież możecie o tym przeczytać w poprzedniej powieści, prawda? Dość powiedzieć, że znaleźliśmy skarb, ale nie ten, którego szukaliśmy. Im bardziej przyglądamy się Wasielakom, tym więcej rodzi się pytań. Ich ojciec to zagadkowy facet, Armand zresztą nie mniej. W dodatku ten chłopak znikł gdzieś w niewyjaśnionych okolicznościach. Inez i Patyk darzą się dużą sympatią, jednak ostatnio popsuło się między nimi. Czy się naprawi, zobaczymy. Miłego czytania, ludziska!



ROZDZIAŁ 1

Wczasy na miejscu

Wracaliśmy ze szkoły w ogólnie dobrych nastrojach. Ścisłe mówiąc, w statystycznie dobrych nastrojach, gdyż ja miałam wyśmienity, zaś mój braciszek taki sobie. Niosłam niebieską tekturową teczkę, a w niej świadectwo z białoczerwonym paskiem, średnia 4,86. Poza tym jeszcze dwa dyplomy: za najlepsze w klasie wyniki w czytelnictwie i za najciekawszą samodzielnie przygotowaną lekcję. I co najważniejsze, czułam się już gimnazjalistką.

Maciek trzymał w kieszeni wygniecione, zwykłe świadectwo. Jadł truskawkowego loda

w ciekącym wafelku, zupełnie nieprzejęty zachlapaną białą koszulą. Tę koszulę sama mu prasowałam. Ostatni raz!

— Ten dyplom... — siorbnął — to niby... — siorbnął — za nasze przygody? — zapytał, a potem wytarł usta tatowym krawatem.

— Opowiedziałam o historii Bukowej Góry, nie o naszych przygodach — westchnęłam, bo ile razy można powtarzać.

— Ta, jacha — uśmiechnął się krzywo. — Podobno o mnie nie wspomniałaś, a gdybym nie znalazł mapy, w życiu nie poszłabyś do biblioteki. A gdybyś nie poszła do biblioteki, nie poczytałabyś o... AŁA! — jęknął, gdy go trzepnęłam teczką w ucho.

Spochmurniał i przestał się odzywać, no i dobrze. Nieuk jeden o mały włos nie zdałby do piątej klasy. Siorbał tego lodu, jakby chciał pozbyć się go jak najszybciej.

— Nie wlecż się — ponagliłam, bo mieliśmy zebranie na tyłach sklepu z Patykiem i Tobim. No i z Oliwką. — Zobacz, gdzie oni już są.

— Nie widzę ich — burknął i zaczął skakać po płytach chodnikowych, jakby grał w klasy.

— No właśnie. Przestań się wygłupiać, bo zadeptujesz spodnie.

— I co z tego?



— Wysmarowałaś się jak niemowlę, ludzie będą się z nas śmiać — zatoczyłam ręką wokół siebie.

Prawdę mówiąc, okolica była nieco wyludniona, wczasowicze dopiero się zjeżdżali, a dorośli byli w pracy albo w domach. Nawet dzieciaki zdążyły się rozejść, szczęśliwe z powodu końca szkolnej mordęgi. Słońce przypiekało, jak zwykle pod koniec czerwca, toteż panowała ogólna senność. Tu i ówdzie na słupach ogrodzeń bądź na wystawionych przed płoty ławkach wygrzewały się spasione kocury, zbyt leniwe, by reagować na przechodniów. Spomiędzy sztachet wyglądały wielokolorowe irysy i gerania spowite słodkim zapachem, oszałamiającym krążące nad nimi pszczoły.

Ziewnęłam, przewidując czekającą mnie wakacyjną nudę. Nie mogliśmy liczyć na jakiś wyjazd, bo według filozofii taty dzieci z Bukowej Góry mają wczasy na miejscu. Jeżeli Patyk niczego nie wymyśli, pobiję kolejny rekord czytelniczy. Od pewnego czasu chłonełam książki jak Maciek słodycze. Na okrągło i bez umiaru.

— Jakoś nikt się nie śmieje — zauważył odkrywco. Potem kopnął zgniecioną puszkę leżącą na skraju chodnika. Puszka zatoczyła w powietrzu łuk i wpadła do kosza na śmieci, ustawionego obok przystanku autobusowego.

— Widziałaś, jaki ronaldinio¹? — wyszczerzył krzywe zęby. Ronaldiniami nazywał wszystkie udane triki piłkarskie. Mniej więcej jeden na sto.

— Fuks — skwitowałam, a potem przytrzymałam go za rękę i natychmiast tego pożałowałam, bo palce miał wilgotne i lepkie. — Dokąd to? — zapytałam, widząc, że zamierza skrócić w stronę domu.

— Widzisz przecież.

— Mamy naradę, ośle. Od tego cukru dostajesz sklerozy?

— Wiem, że mamy naradę. Idź sama, ja jestem głodny — szarpnął ręką. — Puszczaj, Baśka!

Nie puściłam. Niech się trochę przegłodzi.

¹ Ronaldinio – chodzi o Ronaldinho Gaúcho, brazylijskiego piłkarza, mistrza świata w 2002 roku i dwukrotnego mistrza Ameryki Południowej.

— Dopiero jedenasta, jeszcze nie ma obiadu.

— To co? Zrobię sobie kromala — sapiąc, wyrwał palce z mojej dłoni. — Opowiesz mi, co i jak, pewnie i tak całe wakacje będziemy leżeć na pomoście Tobiego.

Poprawił krawat, przeczesał brudną łapą włosy i skrzyknął za róg.

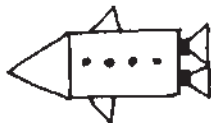
— Ej! — krzyknęłam za nim. — Ja bym się nie pchała z takim świadectwem bez obrońcy! — miałam na myśli siebie, już nieraz wyciągałam go z tarapatów.

Zatrzymał się i spojrzał na mnie zdumiony.

— Czego chcesz od świadectwa, przecież zdałem.

— Zdałeś, ale w kiepskim stylu — pokręciłam głową.

— Styl to rzecz względna, mama nie spodziewa się po mnie cudów — postukał się w czoło. — A na pierwszej stronie stoi jak wół, że promowany. Narka!



ROZDZIAŁ 2

Kosmiczne plany

Na placyku za sklepem było dosyć ciasno. Sporą część niewielkiej przestrzeni zajmował poobijany kontener na śmieci i dwa kubły na odpadki z baru *Hot-Dog and Flaczki*. Bar działał od miesiąca, ciesząc się na razie umiarkowanym zainteresowaniem, ale właściciel miał nadzieję na duży zysk w sezonie. W ciągu roku wybudowano nad jeziorem kilka domków letniskowych, a w regionalnej prasie pojawiło się mnóstwo ogłoszeń o pokojach do wynajęcia. Wieś rozwijała się i to była miła perspektywa. Patyk planował, że jeśli nie zostanie leśnikiem, jak każe rodzinna

tradycja Dołębów, wybuduje pensjonat i będzie żył z turystyki. Zobaczymy.

Stali oparci o płot, za którym ciągnął się rozległy ogród warzywny z dwiema szklarniami i kilkoma niskimi foliowymi namiotami.

— Gdzie Maciuś? — zainteresował się wylegantowany Dołęba, wachlując się świadectwem.

— W domu — mruknęłam. — Lepszego miejsca niż pod śmietnikiem nie mogłeś wymyślić?

— Następna mądra — Patyk spojrzał wymownie na naburmuszoną Oliwkę, ubraną jak na nią zdumiewająco normalnie: w białą bluzeczkę i granatową plisowaną spódniczkę. Jedynie różowe skarpetki z czerwonymi włóczkowymi pomponami i granatowe półbuty przypominały o skłonności do dziwactwa.

Miałam na sobie podobny zestaw, pomijając obciachowe skarpety, lecz marzyłam o dżinsowych spodenkach, powyciąganej koszulce i sandałach na bose stopy.

— Basia ma rację — jęknęła kuzynka Patyka. — Tu jest brudno i śmierdzi.

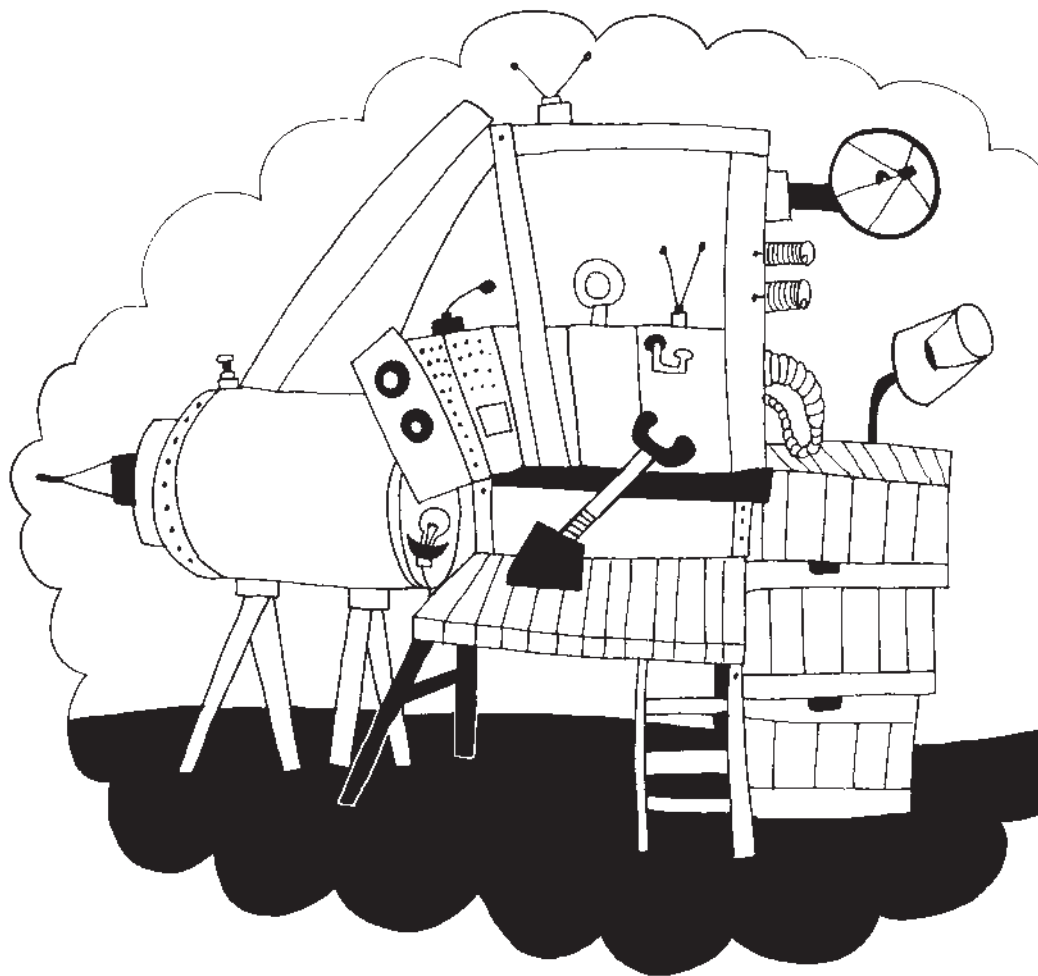
Znalazła się bratnia dusza, westchnęłam w myślach. Że też musiała się tu sprowadzić na stałe. Ale dla dobra sprawy i ze względu na zakochanego w niej Maćka uśmiechnęłam się do niej z udawaną wdzięcznością.

— Mogliśmy iść na pomost — odezwał się Tobiasz Mickiewicz, zupełnie niespokrewniony ze sławnym poetą. Podwinąwszy rękawy przydużej marynarki w prążki, zaczął dłubać w zębach żdźbłem trawy. — Ale ty się uparłeś, że tutaj.

— Na pomost za daleko chodzić. Może po południu, jak tak bardzo chcecie — Patyk okazał łaskawość. — A do mnie odpada. Jak tylko się pokażę, ojciec zagoni mnie do roboty i nie przedstawię wam planu na wakacje.

— Jaki to plan? — usiadłam na ceglach pod płótem, nie oczekując rewelacji.

— Coś zbudujemy — nasz przywódca podniósł palec z tajemniczą miną.



— Huśtawkę, domek na drzewie? — zgadywałam bez entuzjazmu.

— Coś ty, Basia — roześmiał się Tobi. — Nie mamy pięciu lat. Patyk wymyślił coś kosmicznego!

— Dom dla lalek? — zapytała naiwnie Oliwka. Młody Dolęba przewrócił oczami i westchnął. Miała nadzieję, że wstyd mu za krewniaczkę.

— Nie domek dla lalek — wycedził. — Zbudujemy... — zawiesił głos dla lepszego efektu — STATEK KOSMICZNY!

Zamurowało mnie. Oliwkę chyba też, bo zerknęła na mnie płochliwie. W jej oczach wyczytałam prośbę: zrób coś! Niech będzie, że zrobię. Wstałam, otrzepując spódnicę.

— Oczywiście polecimy w kosmos? — uśmiechnęłam się. — Jaki cel? Jowisz, Pluton, sąsiednia galaktyka?

— Nie musisz kpić — Patyk niemal się obraził. — Na razie nie przewiduję lotów, nie stać nas na odpowiednią technologię. To będzie bajerancki symulator lotu.

— Właściwie głównie wewnątrz kokpitu u mnie w szopie — dodał Tobi. — Taki startrekowy design.



Zabrzmiało to uczenie, cokolwiek miał na myśli. Jednak pomysł nadal wydawał mi się głupi. Wzruszyłam ramionami.

— Wiecie co, kosmonauci? Idę do domu. Maciek miał rację, mówiąc, że nie przyszedł wąchać kubłów. Gdy zechcecie poopalać się na pomoście, dzwońcie. Chętnie poleniuchuję w sympatycznym towarzystwie.

Patyk chciał coś powiedzieć, być może przekonać mnie do idei, ale zaledwie otworzył usta, z zaplecza wyszedł pan Telejmon w białym fartuchu, właściciel sklepu i baru w jednej pucułowanej osobie. Oszacował nas podejrzliwym spojrzeniem, odstawił kosz z odpadkami i warknął:

— A wy tu czego?

Zdrętwieliśmy zaskoczeni. Nie wszyscy, jak się okazało.

— MY? — Oliwka zatrzepotała rzęsami. — My tu, proszę miłego pana, niczego.

— Jak to: niczego? Coś pewnie ukraść chcecie, hę? — zbliżał się, wpatrzony w nas jak głodny kot w myszy. Jego mały nosek wyraźnie się poruszył.

— Proszę pana, tu nie ma czego kraść — rozłożyła ręce, demonstrując niewinność. — A gdyby nawet było, to nie w naszym stylu. My pomagamy policji, nie słyszał pan? — odwróciła się nagle, bo zadzwonił telefon. Odeszła w kąt podwórka i rozmawiała przez chwilę, gorliwie potakując.

Pan Telejmon poświęcił chwilę na zastanowienie i drapanie się po głowie. Widać obilo mu się co nieco o uszy, bo machnął ręką.

— Skoroście tacy pomocnicy, może was do kuchni wezmę? Imprezę jutro mam, każda para rąk się przyda.

— Nie, nie — ocknął się Patyk. — My już mamy plany. Kosmiczne, można powiedzieć.

Uklonił się głęboko i odszedł szybkim krokiem. My za nim, równie szybko. Wyobraziłam sobie siebie w białym czepku, upapranym fartuchu, z nożem do obierania ziemniaków. To niech już będzie ten kosmiczny cyrk.

Spis treści

Poprzednio w „Piątce z Bukowej Góry”	5
ROZDZIAŁ 1 Wczasy na miejscu.	7
ROZDZIAŁ 2 Kosmiczne plany	13
ROZDZIAŁ 3 Bez wątpienia miły chłopak	20
ROZDZIAŁ 4 Zaproszenie.	26
ROZDZIAŁ 5 Dyplomy z pieczętkami	32
ROZDZIAŁ 6 Bliskie spotkanie drugiego stopnia. .	40
ROZDZIAŁ 7 Pierwszy trening.	46
ROZDZIAŁ 8 Baza ratowników i inne atrakcje . . .	53
ROZDZIAŁ 9 Niejasne ostrzeżenie	60
ROZDZIAŁ 10 Indianie w krótkich spodenkach. . .	66
ROZDZIAŁ 11 Drugi trening	75
ROZDZIAŁ 12 Jaki ojciec, taki syn	83
ROZDZIAŁ 13 Kadet Wasielak	89
ROZDZIAŁ 14 Zero kultury	95
ROZDZIAŁ 15 Zadanie	101
ROZDZIAŁ 16 Przebiegły Patyk.	108
ROZDZIAŁ 17 Egzamin z niespodzianką	113
ROZDZIAŁ 18 Układ z policją.	120